

GPS głupi jest

1 kwietnia 2011



Podarunek z USA powoduje śmierć lub kalectwo.

Na początku tego stulecia Wuj Sam zrobił światu wielki prezent. Nie ufam niczemu, co jest amerykańskie, a jak jankesi dają coś za darmo, to z reguły okazuje się, że jest to z gówna prezent.

1 maja 2000 r. system nawigacji satelitarnej (Global Positioning System – GPS), stworzony, utrzymywany i zarządzany przez Departament Obrony USA, obejmujący zasięgiem kulę ziemską, składający się z 31 satelitów szpiegowskich, decyzją Billa Clintona stał się przydatny dla zwykłych ludzi na całym świecie. Umożliwia on każdemu obiektowi – posiadającemu oczywiście odbiornik sygnału GPS – określenie jego pozycji na kuli ziemskiej i wyznaczenie optymalnej trasy w dotarciu do planowanego celu.

Decyzja prezydenta USA mogłaby mieć ogromne znaczenie dla

ruchu kołowego np. w Kongo – gdzie dróg brak, a drogowskazy bywają rzadko. Problem jednak w tym, że najtańszy odbiornik GPS w owych czasach kosztował 5000 dolarów, Kongijczykom amerykański system był więc o kant dupy potłuc. GPS-y stawały się za to popularne w Europie, gdzie – podobnie jak wojska amerykańskie – są zupełnie niepotrzebne.

PONĘTNY GŁOS SODOMITY

W maju zeszłego roku odwiedził mnie mój ziomek – amerykański oficer w stanie spoczynku. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że prowadzę samochód bez nawigacji satelitarnej, i to kilkaset kilometrów od domu, nie zaglądając też do mapy. Przyjmował do wiadomości, aczkolwiek nie rozumiał, że przez 16 lat pracy jako reporter tygodnika „Nie” przejechałem po Polsce ponad milion kilometrów i zajeździłem 5 samochodów. GPS mam zatem w głowie. Potrafi on powiedzieć, gdy jestem w Rzeszowie, ile jest świateł sygnalizacji świetlnej od rogatek Szczecina do jego centrum przy placu Grunwaldzkim.

Zdaniem amerykańskiego oficera umysł tym sposobem mam jak neandertalczyk. Zaśmiecami go w gruncie rzeczy mało istotnymi danymi. Na moje kontrargumenty – że być może, ale właśnie dlatego GPS-u nie potrzebuję – odgryzł się, twierdząc, że jeżdżenie bez GPS-u to obecnie taki obciach jak przyjscie we fraku do opery z rozpiętym rozporkiem. Ponieważ najwyraźniej w przyszłości nie chciał już się za mnie wstydzić, na lotnisku dał mi prezent. Stwierdziłem, że w opakowaniu jest odbiornik GPS. Mniej więcej 2 tygodnie zajęło mi przeczytanie instrukcji obsługi.

Nauczyłem urządzenie mówić głosem przystojnego sodomity lub przy przesunięciu suwaka w inną pozycję – altem aktorki filmów soft porno: W lewo!, Teraz prosto!, Na rondzie wybierz trzeci zjazd i jedź prosto. Urządzenie z ekranu porażało mnie też wizualizacją, że w centrum Warszawy atakuje mnie las łyżek i widelców. Przekonywało, że z Katowic do Krakowa dystans wynosi 1360 km.

Poczytywałem to wszystko za przejaw własnego imbecylnizmu technicznego, przekładającego się na nieudolność w obsłudze tego amerykańskiego ustroju.

NAWIGACJA POD PRĄD

Zmagając się z własnym kretynizmem po pół roku eksperymentowania z głównoprezentem zrobionym przez czajników dla firmy MIO, poczułem dzielność, aby poddać nas próbie ostatecznej. Postanowiłem zdać się na automatycznego pilota, pokonując drogę z lotniska Okęcie do redakcji przy Słonecznej w Warszawie. Znam trasę na pamięć, ale musiałem zapomnieć pamięć.

Ruszyłem spod terminalu 1 i wjechałem zgodnie z poleceniami w ulicę Żwirki i Wigury, aby przeciąć 17 Stycznia. Przy Franciszka Hynka, którą też zwykłem pokonywać na wprost, polecono mi skręcić w lewo. Tak też uczyniłem. Następnie automatyczny pilot rozkazał, abym skręcił w prawo w Radarową, która akurat była zatarasowana przez TIR-a. Pojechałem dalej, aby normalnie skręcić w Słowiczą, ale Słowiczej zdaniem GPS-u nie było. Dojechałem zatem do Sabały, która przechodzi w Strubiczów – o czym urządzenie już nie wiedziało. Kazało mi skręcić w prawo na 1 Sierpnia. Tak też uczyniłem. Ponownie znalazłem się na skrzyżowaniu przy Żwirki i Wigury, gdzie już mogłbym być 6 minut wcześniej, gdybym jechał po swojemu. Tu kazano mi skręcić w pierwszą w prawo. Bacznie śledząc ekran, uczyniłem jak należy i gdybym robił tak dalej, na pewno już bym nie żył. Spojrzałem bowiem przez szybę, aby zobaczyć szarżujący na mnie tabun samochodów, za kierownicami których siedzieli osobnicy stukający się palcami w czoła – przynajmniej ci grzeczniejsi. Większość wygrażała mi pięściami. Jechałem bowiem ulicą Żwirki i Wigury pod prąd, ignorując wyraźny znak zakazu wjazdu.

Zlany potem i moczem dotarłem jakimś cudem do miejsca zawracania. Zgasiłem auto. Zapaliłem papierosa. Miotając kurwami, wyłączyłem GPS. Domniemywałem, że Departament Obrony

Stanów Zjednoczonych chciał mnie tym wrednym sposobem zabić, a może jeszcze kogoś przy okazji.

URZĄDZENIE NIEBADALNE

Skoro tylko mogłem, chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do firmy MIO, aby się podzielić z nią refleksjami o patrzeniu śmierci w oczy.

– Jakim prawem sprzedajecie to idiotyczne urządzenie zagrażające życiu ludzi?

– Błąd wynika najprawdopodobniej z tego, że nie ma pan zaktualizowanej mapy. Proszę połączyć się z internetem. Ściągnąć najnowszą wersję, a uniknie pan w przyszłości kłopotów.

– No proszę. A jak często powinienem aktualizować mapę?

– Co pół roku.

– W rejonie błędnego nawigowania przez Wasze urządzenie organizacja ruchu nie zmieniła się od 10 lat. Kto Warn zezwolił na sprzedawanie tych felernych urządzeń? Czy macie jakieś świadectwo dopuszczenia ich do użytkowania? Zgodności z polskimi normami?

– Na dystrybucję odbiorników GPS nie jest wymagane żadne zezwolenie ani homologacja.

– Jak to? Żebym się nie zabił, mam zapinać pasy. Nie wolno mi rozmawiać przez komórkę ani mieć słuchawek w uszach. Palić mi w samochodzie nie wolno ani jeść, bo to rozprasza moją uwagę, a wy sprzedajecie jakiegoś autotyrana, cybernetycznego despotę idiotę i nic?

– Ano nic.

Zgodnie z rozporządzeniem ministra infrastruktury w sprawie homologacji pojazdów samochodowych i ich części, badaniom

zgodności z wymogami bezpieczeństwa podlegać mają nawet takie elementy wyposażenia samochodu, jak wycieraczki reflektorów, miejsca do spania, które mogą powstać z miejsc siedzących, a nawet urządzenia kuchenne, jeżeli zainstalowane są w samochodzie. Badaniami tymi trudni się Przemysłowy Instytut Motoryzacji, który, moim zdaniem, również powinien nie dopuścić, aby w moje ręce wpadła mordercza nawigacja.

– Czy poddają Państwo badaniom homologacyjnym urządzenia nawigacji satelitarnej GPS?

– Owszem, badamy te urządzenia pod względem elektrotechnicznym, tzn. określamy ich wpływ na prawidłowość działania innych urządzeń elektrycznych w samochodzie po ich załączeniu, np. do gniazdka zapalniczki.

– No i jaki jest ten wpływ?

– Nie stwierdzamy zagrożenia dla kierowcy ani interferencji w prawidłowe działanie pozostałych systemów samochodu.

– A co z prawidłowością wskazań i poprawnością wyświetlania mapy? Co, jeżeli nawigacja kazałaby jechać pod prąd lub np. drogą kończącą się urwiskiem?

– Tym się nie zajmujemy.

– Jak to?! Przecież to jest mniej więcej takie samo zagrożenie, jak gdyby na skrzyżowaniu ze wszystkich stron paliło się zielone światło?

– Polskie prawo nie nakłada na nas, a tym bardziej na importerów lub producentów, badania zgodności i prawidłowości wskazań nawigacji satelitarnej.

– Jak to nie nakłada... jak nakłada? Jest przecież ministerialne rozporządzenie. Badacie prawidłowość wskazań prędkościomierzy?

– Badamy. Ale nawigacji nie badamy.

– Dlaczego?

– Pan pozwoli, że spytam (dłuższa chwila ciszy w słuchawce). Wynika to z dyrektyw unijnych.

CHWILA DLA DEBILA

Na policji nie prowadzi się statystyk ujmujących zdarzenia wynikające z błędnych wskazań GPS w Polsce. Ja też ich nie prowadzę, ale posłużyłem się analogią dla zilustrowania skali zagrożenia. W Wielkiej Brytanii jest 38 mln samochodów, z których 70 proc. wyposażonych jest w nawigację. Stosowane w autach urządzenia GPS są wymieniane jako przyczyna 300 tys. wypadków i kolizji drogowych rocznie. Wielu kierowców przyznaje też, że nawigacja doprowadziła do wykonania przez nich niedozwolonego manewru – tak wynika z badań dużej firmy ubezpieczeniowej Direct Line przeprowadzonych dla dziennika „Daily Mirror”.

Zgodnie z doniesieniami „Daily Mirror” co dziesiąty kierowca z urządzeniem do nawigacji wykonał z jego powodu manewr niezgodny z przepisami. 20 procent kierowców przyznaje, że otrzymanie instrukcji do urządzenia spowodowało opóźnienie w podjęciu decyzji i zgubienie drogi. W skali Wielkiej Brytanii oznacza to, że około 7 milionów kierowców zostało zmylonych przez nawigację. Co osiemdziesiąty samochód wyposażony w GPS był sprawcą jakiegoś drogowego nieszczęścia. W Polsce, począwszy od 2005 r., sprzedawanych jest rocznie 600 tys. urządzeń GPS (przed tą datą rynek szacowano na ok. 90 tys.). Oznacza to, że mamy w Polsce ok. 3,5 mln tych urządzeń w samochodach. Przyglądając się statystykom i zakładając chyba zdroworozsądkowo, że polscy kierowcy są tylko trochę głupszy niż Brytyjczycy, wychodzi na to, że GPS doprowadza do większej liczby kolizji niż pijani kierowcy, a nawet nadmierna prędkość. I co?

Zadzwoiłem do Ministerstwa Infrastruktury dowiedzieć się, jak to jest, że gdy średnia prędkość na polskich drogach zmalała

do 55 km/h (najniższa w Europie), za każdym znakiem ograniczającym prędkość czai się fotoradar, ministerstwo zezwala na użytkowanie w autach maszyn do eksterminacji polskich kierowców, i to w sytuacji gdy dyrektywy unijne wyraźnie nakazują nam zmniejszenie o połowę wypadków śmiertelnych na drogach? Przyznano, że istotnie musi być to chyba problem, ale Ministerstwo Infrastruktury nie posiada przecież żadnych instrumentów, aby mu przeciwdziałać. Zasugerowano, abym w tej sprawie przysłał list.

Każdy będzie wyposażony w nawigację, która nie będzie rozróżniać Włocławka od Wrocławia, Lubina od Lublina, a ulicy Bełdan od Bełdana. Bo to przecież niemal to samo.

Wyobraźmy teraz sobie, że wszyscy ci kibice piłki nożnej, ludzie z natury inteligentni, wyprowadzeni zostaną rozkazami swoich autopilotów w pole, las lub rozpędzą się do 200 km/h na nieskończonych jeszcze autostradach lub w ogóle daleko od szosy. Oj, będzie się działo. A swoją drogą, należy przyjąć jako życiową dewizę: Jeżeli Amerykanin chce dać ci prezent, to przyjmij go z wyrazami kurtuazji należnymi Wielkiemu Bratu i nie spoglądając w ogóle, do czego to miałoby służyć, wypieprz do kosza. Tak będzie taniej, bezpieczniej i elegancko.

Prosimy więc ministra Cezarego Grabarczyka, aby niniejszy artykuł traktował jako właśnie taki list. Pora na zajęcie się problemem jest stosowna. Za rok z powodu kopania piłki Euro 2012 przyjadą do nas dodatkowo 2 miliony zmotoryzowanych Europejczyków.

Autor: Robert Jaruga

Zdjęcie: [Alan Bruce](#)

Źródło: [„Nie” nr 10/2011](#)